Nr. 10. Rok III.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE Lwów. Czwartek 18 Marca 1880. WYCHODZI CO TYDZIEN.

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. 60 ct.	rocznie	12 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 80 „	półrocznie	6 „ — „
kwartalnie	2 „ 40 „	kwartalnie	3 „ — „
miesięcznie	— „ 80 „	miesięcznie	1 „ — „

W Poznańskiem i Prusach 6 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 8 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupanskiego w Poznaniu.

Numer pojedynczy 25 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja Dziennika dla Wszystkich przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji Dziennika dla Wszystkich we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse; A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarii: Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clement 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



DR. ANTONI MAŁECKI

B. PROFESOR UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO, POSEŁ NA SEJM — ZNAKOMITY LITERAT.

(Rysowane podług fotografji z zakładu Piotra Mieczkowskiego we Lwowie).

Od Administracji.

Upraszamy wszystkich szanownych prenumeratorów, którym się już skończył, lub kończy obecnie abonament, aby raczyli odnowić prenumeratę przesełając takową przekazami pocztowymi *do Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie.* Nadmieniamy przytem, że ci tylko pp. prenumeratorowie „Dziennika dla Wszystkich“ otrzymają dwa numera „Stańczyka“ bezpłatnie, a następnie za połowę ceny, którzy odeślą zaległą, lub odnowią bieżącą prenumeratę na „Dziennik dla Wszystkich“.

Z DOMU I ŚWIĄTYNI

przez

Fr. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Drugim objawem charakteryzującym wielce średniowieczczyznę, jest myśl o jutrze, nam prawie obca zupełnie. Podczas, gdy my pochłonięci prądem utylitaryzmu, najczęściej nie pytamy się o to, czy praca nasza jutro na coś się przyda, przeszłość za to, w charakterze swoich przedmiotów pracy, na każdym niemal kroku, wycisnęła piękno rozmyślania o przyszłości.

Być może, iż przeszłość czyniła to w przekonaniu że jej utwory są dobre i piękne, być może, że chciała przed oczy przyszłym pokoleniom stawić dumne ślady swego bytu; bądź co bądź jednak, bez względu jakie myśli nią powodowały, zawsze jest ona wyższą, ze stanowiska artystycznego, od naszych czasów. Już samo poczucie zdolności, może nawet bezwiedne, nauczania kogoś, — stanowi wielki przymiot epoki, lub wieków. My nie możemy powiedzieć tego o sobie; nie stworzywszy, bowiem, żadnej indywidualnej myśli, ani w architekturze, ani w rzeźbie, przeżuwamy ustawicznie dawne kreacje, często nie dorównywując im nawet w naśladownictwie.

Owo j u t r o więc w sztuce, przymiot wieków średnich, na niewiele by nam się przydało, dopóki nie stworzymy nowej myśli w dziedzinie piękna, co nam epokę zaznaczy. Zresztą prąd egoistyczny, który się stał jednym z pierwiastków naszego życia, nie pozwoli na rozwinięcie się myśli o jutrze w artystycznym kierunku. Potrzeba na to wyższych i szlachetniejszych namiętności, potrzeba głębszych i potężniejszych uczuć nad te, co naszemi sercami owładły.

Tylko silny indywidualizm średnich stuleci, uczucie potęgi twórczej w dziedzinie piękna, wewnętrzne przeświadczenie własnej siły żywotnej, — mogły zrodzić ten wysoki artystyczny nastrój ducha, który tak bogato owiał domy, pałace i świątynie ze wszystkimi ich szczegółami, co w dalekiej przeszłości swej początek czerpały. Gdyby, bowiem, dawne stulecia żyły tą bezbarwnością uczuć, jakie nami opanowały — z pewnością nie pozostawiłyby po sobie tyle objawów piękna, nie przemówiłyby do nas tą powagą i uroczystością, jaka w nich tak wspaniale zakwitła.

Wiadomo nam, że wydoskonalenie linji, przeprowadzenie jej estetyczne w najróżnorodniejszych kombinacjach, stanowi główną podstawę piękna, że linja artystyczna jest najlepszym tłomaczem smaku i fantazji pewnych cywilizacyjnych epok. Dość więc spojrzeć na jej układ w romańskim, ostrołukowym, lub renesansowym stylu, aby się przekonać o duchu każdej zosobna epoki. Wedle tego zaś, w jak bogatych kombinacjach wystąpiła ona, o ile jest miękką, pełną i potoczystą na pomnikach rzeźby, architektury i malarstwa, — możemy stanowczo sądzić o estetycznym poczuciu jej twórcy.

Spojrzawszy np. na dzieło architektury, oprócz ogólnej harmonji w jego częściach składowych, szukamy w nim jednocześnie estetycznej rozmaitości, jako niezbędnego warunku, szukamy szczegółów, któreby łącząc się logicznie z całością kreacji, przemawiały do uczucia i rozumu zarazem, któreby, wyrażając ideę artysty, urokiem swoim więziły oko widza; — słowem, szukamy kombinacji linji wiedzionej fantazją piękną rozumną.

Śmiało też powiedzieć możemy, że średnie wieki przejmowały wszystkie te warunki głęboko i ciepło. To też budując wyniosłe ściany wieżyc świątyń i domów, ustroiły je rzeźbą, opatrzyły tysiącami okien, okienek i t. p., puste zaś powierzchnie murów przyodziały wzorami różnego układu, wykonanymi zglazurowanej cegły, pocięły w szachownicę barw wszelakich, ażeby wywołać tym sposobem uczucie piękna i lekkości.

Kamienna ściana nabiera tu życia, powiedziałbym szlachetnej namiętności, a tak swobodnie bieżąc, przyodziewa się w kwiaty i liście, nawet zwierzęta powołuje za sobą, aby myśl swoją usymbolizować wyraźniej. Więc otoki drzwi i okien, poddasza murów, ściany oknami i wnętrzami zakreślone, stroją się tam świątecznie w barwy i linje artystyczne tak dalece, jakżeby chciały całemu światu zaświadczyć o nieskończoności piękna i twórczej myśli, jak gdyby zamierzały okazać nicość materji w obec ducha.

Kiedy też spojrzysz po ulicy średniowiecznego grodu zdaje ci się, że zarówno wszystkie budowle kamienne, jak i ludzie jednym zakipiały życiem, — zdaje ci się, że nie znalazłbyś różnicy pomiędzy namiętnością człowieka bądź religijną, polityczną, bądź artystyczną, a gmachem, około którego przechodzisz. Zarówno tam, jak i tu jaskrawość nam gwałtownie się objawia. Widzisz, jak ściany domów przystroiły się tysiącami linji i harmonijnych ozdób, niekiedy złamały się w różnym kierunku, aby, zyskując rozmaitość artystyczną, usunąć się w głąb murów, lub wybiedz na ulicę obronną wystawką.

Nawet dachy nie spoczęły spokojnie, lecz zrywają się ku niebu, jak gdyby zamierzały się wyrwać z koronkowych belkowań i lekkich szczytnic, które im zakreślają granicę. Po gzymsowej znowu linji, co niekiedy zamiast koronkowych rzeźb, zajmie miejsce renesansowych kroksztynów, często spostrzeżesz pełzające gady, z kamienia misternie kowane.

Są to symbole szatana, dla których kościół północną stronę świątyni przeznaczył. Widzimy je między innemi na kościele Panny Marji w Krakowie.

Niemniej bogato na zewnątrz występują świątynie i budowy wzniesione w XVI. i w pierwszej połowie XVII. stulecia, z tą chyba różnicą, że kiedy w romańszczyznie i gotyku, myśl i uczucie rozczłonkowały materję na tysiące estetycznych linji, — w renesansie podlot fantazji i myśli poważniejszych, a namiętna siła uczuć, przyobleka bardziej materjalne szaty. (C. d. n.)

Kronika krajowa.

Jak wiadomo obrany został prezydentem Lwowa p. dr. Gnoiński, znany tutejszy adwokat. Wybór ten witamy z radością. Nowy prezydent w bardzo ciężkich chwilach naszego życia za prawość charakteru i patrjotyzm, zasłużył sobie na ogólny szacunek. W jednym z bliższych numerów „Dziennika dla Wszystkich“ zamieścimy wizerunek nowego prezydenta.

W niedzielę, dnia 14 b. m., odbyło się walne zgromadzenie, „Stowarzyszenia pracy kobiet“. Sprawozdanie pod przewodnictwem hr. N. Dzieduszyckiej wykazało znaczny rozwój towarzystwa. Jest to objaw bardzo pomyślny, gdyż daje najlepszy dowód, czem jest w społeczeństwie praca kobiet. Bez współudziału szerszych kół, bez poparcia władz rządowych i krajowych — powolną, a nieustającą pracą zyskuje sobie stowarzyszenie uznanie i powoli zapewni sobie egzystencję samoistną. Chcąc uchronić się od strat znaczniejszych, jakie pociąga za sobą utrzymywanie p r a c o w n i szycia białego, postanowiło ogólne zgromadzenie znieść ją, polecając zarazem radzie zawiadowczej wyznaczenie komisji, którąby obmyślała sposób, w jaki by można zastąpić ubytek wspomnianej pracowni.

Wytrwałość i uznania godna gorliwość stowarzyszenia zasługuje na większe poparcie, i mamy nadzieję, że zdobędzie je sobie.

† Z szeregu zdolnych pracowników naszych na polu literatury i sztuki zabrała nam śmierć nieubłagana W o j c i e c h a S o w i ń s k i e g o, wychodźcę z roku 1831 zamieszkałego w Paryżu. Znakomity, jako kompozytor i pianista z równą gorliwością pracował na polu literatury, darząc nas „Słownikiem muzyków polskich“, wydawszy poprzednio toż dzieło w języku francuskim p. t. *„Les musiciens polonais et slaves“*. Lubiany przez najpierwsze rodziny francus-

kie, cieszył się sympatją monarchów Francji, Anglji i Belgji, a co może rzadsza, umiał sobie zjednać przyjaźń znakomitych, jak sam muzyków. Jemu to zawdzięczamy zapoznanie Francji z narodowemi naszemi pieśniami. *(Chants polonais nationaux et populaires).* Z własnych jego kompozycyj wymienimy: oratorjum „Św. Wojciech“, opera „Złote gody“, uwertura symfoniczna „Mazepa“, prześliczne „Trio“, oraz kilka mszy. Rodacy — tułacze na obczyźnie oddali znakomitemu ziomkowi ostatnią posługę, usypawszy na cmentarzu obok tylu drogich nam mogił, jedną więcej. My w odległą krainę, szlemy westchnienie żalu i smutku...

Komisja wybrana na ostatniem walnem zgromadzeniu tutejszego towarzystwa muzycznego, celem ułożenia nowego statutu, ukończyła już swoją pracę, i jak się dowiadujemy przesłała takowy wydziałowi celem wydrukowania, i zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia.

---

† Dr. Karol Sladkowski. Zmarły w Pradze, urodził się dnia 22 czerwca 1823 roku. Szybko skupiły się około niego żywioły wolnomyślne ludu czeskiego, których faktycznym przywódcą nadal pozostał. Do sejmu czeskiepo należał od r. 1863, gdzie grał znaczną rolę. W radzie państwa nie ukazał się nigdy; w ostatnich wyborach nie przyjął mandatu z powodu choroby. Znaną jest jego wytrwałość w dążeniu do celu, jaki sobie wybrał. Wysoko ceniono jego charakter zacny i bez skazy. Dr. Sladkowski dla którego z powodu jego zdolności i politycznego stanowiska ze wszech stron otwarte były drogi do godności korzyści przynoszących, umarł jako człowiek prywatny, w niedostatku.

Plotki i nieplotki.

* Pewien skrzypek w jednem z prowincjonalnych miast został wysykany po pierwszem allegro.

Słysząc co się dzieje, odłożył smyczek i sam zaczął gwizdać, towarzysząc sobie piccicato.

To się bardzo podobało.

Publiczność zaczęła się śmiać, w końcu rozległo się „bravo“.

Wirtuoz wówczas złożył ukłon i przemówił do widzów:

— Z przyjemnością poddaję się upodobaniom szanownych znawców, którzy dali mi do zrozumienia, że lubią gwizdać.

„Bravo“ rozległo się na nowo, ale już mniejsze od poprzedniego.

* *Ze szkoły.*

Nauczyciel: Co trzeba najprzód czynić, aby się dostać do nieba?

Uczeń: Trzeba najprzód umrzeć, panie profesorze.

* Poważne sztuki są u nas, jak brzydkie, a moralne panny — wszyscy je chwalą, ale nikt ich nie chce.

* Anioły i gęsi mają skrzydła, dla tego niejeden krótkowidz lada gąskę bierze za anioła.

* Niebezpieczny pies.

— Miałem wspaniałego psa, który umiał odróżnić porządnych ludzi od łotrów.

— I co się z nim stało?

— Musiałem się z nim rozstać, bo mnie pogryzł.

ZŁAMANE ŻYCIE

NOWELLA

przez Zorjana.

(Ciąg dalszy).

Pierś uspakajała się powoli, głowę przytulił do skały, szukając ochłody. Blade światło miesiąca oświetlało wzburzoną walką wewnętrzną twarz. W oczach ogień przygasł, tylko zabłysło w nich coś nakształt pereł łez. Lecz i to znikło. Przetarł ręką po czole, odgarnął włos i trzymając mą dłoń, którą czułem gorączkę jego pulsu, zaczął opowiadać.

— Byłem sierotą. Dola moja, ot zwykła — sieroca dola! Znalazł się opiekun poczciwy; ubrał, posłał do szkoły, a że uczyłem się dobrze, więc był zadowolony i nie odmówił pomocy nigdy. Przyszła starucha z kosą i zabrała mi opiekuna i dobrodzieja; mnie wyszczerzyła zęby, zaśmiała się z szyderstwem i zostawiła z smutkiem i niedolą, siostrzycami tak chętnie lgnącemi do sierót. Byłem już w piątej klasie. Ten i ów z nauczycieli zlitował się i polecił na korepetytora. Miałem lekcyj kilka, więc choć nie bardzo wesoło i dostatnio, żyłem jakoś. Strudzony kilkogodzinną pracą z mymi elewami, spieszyłem późnym wieczorem do domu na suchy kawałek chleba i pracę nad samym sobą. Przy słabem świetle małej lampki siedziałem późno w noc nad książkami. Nieraz uczyłem się lekcji do godziny dwunastej w nocy. Zamknąwszy książkę szukałem wytchnienia w muzyce. Rzecz dziwna, im dłużej grałem, tem mniej czułem zmęczenia; lżej mi było na sercu, pierś oddychała wolniej, swobodniej; zapominałem o całodziennych trudach i byłem szczęśliwym...

Tak, byłem szczęśliwym. Życie regularne w pracy, ciągły postęp w naukach, zadowolenie nauczycieli, zdobywanie coraz więcej tajemnic w świecie tonów, spokój nie zamącony niczem, czyniły mię tak szczęśliwym, że mię nie raziły nagie ściany mojej izdebki na poddaszu, smacznym mi się wydawał chleb twardy i suchy, a chociaż mróz brylantami obsypał okna, nie czułem zimna w nieopalonej, ale spokojnej komnatce.

Minęły dwa lata. W położeniu mojem nic się nie zmieniło. Skończyłem klasę siódmą. Minęły wakacje, wśród których karmiłem się i poiłem więcej widokiem pięknej przyrody i wonnym tchem atmosfery wśród gajów i łąk, bo chleba miałem mniej. Uczniowie wyjechali na wakacje, korepetytor był niepotrzebnym. Minęły wakacje i pracę rozpocząłem po krótkiem wytchnieniu na nowo. Między innemi dostałem jedną lekcję materjalnie bardzo korzystną. Uczyłem jednego z mych zamożnych kolegów. Chłopak był pracowity, ale nie zbyt pojętny. Pracowałem więc z nim wiele, ażeby zadowolnić rodziców jego i umożliwić mu postęp w naukach. Nieraz gdy wiele mieliśmy roboty, posiedziałem z nim dwie i trzy godziny dłużej, na czem zyskiwałem to, że już w domu nie potrzebowałem lekcji powtarzać. Wówczas to rodzice jego, widząc nas strudzonych zapraszali mię na podwieczorek lub kolację. Nie wiem, czy nauki było z każdym dniem więcej, czy mój uczeń był mniej pojętnym, ale owe wieczorne lekcje powtarzały się co raz częściej. Sądzisz może, że biedny student zasmakował w kolacjach, o nie! Bywałem po lekcjach co raz częściej u rodziców mego kolegi i coraz częściej widywałem jego siostrę, coraz częściej z nią rozmawiałem, nie zważając wcale, że na tych rozmowach upływały mi godziny, jak chwile. Mój kolega, Bolesław wspomniał, że grywam na skrzypcach; raz jakoś przypadkiem miałem u nich skrzypce ze sobą; prosili żebym zagrał, więc zagrałem. Obsypali mię pochwałami. Panna grała na fortepianie, proponowano grę wspólną i zgodziłem się najchętniej. Odtąd każdą wolną chwilę spędzałem u mego kolegi. Bolesław zrobił znaczne postępy, nauczyciele nie mogli się dość nachwalić i otwarcie w obec jego rodziców mnie przypisywali te nadspodziewane postępy. Cóż dziwnego, że rodzice mię bardzo radzi widzieli w swym domu, że lubili mię i przyciągali ku sobie; cóż dziwnego, że Helena znajdowała mą grę piękną i najchętniej grywała ze mną?...

Uczyłem więc Bolesława, potem grałem z panną Heleną, a w nocy w domu — przepisywałem nuty i marzyłem...

I zaczęła się pusta moja izdebka napełniać obrazami złudnej wyobraźni, głowę mą przepełniały najrozmaitsze rojenia i po raz pierwszy uczułem chłód w izdebce, straciłem spokój, jaki mi dawało zacisze domowe, — tęskniłem... Jakżeż liczyłem minuty i sekundy w szkole, by co prędzej usłyszeć głos dzwonka, wybiedz na ulicę, odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam duszno mi było; by pobiedz do domu, wziąć świeży kołnierzyk, najlepszy tużurek i z skrzypcami pobiedz do niej. Grałem przy fortepianie, a oczy zamiast w nuty, zatapiałem w jej licu. Ona kraśniała pod mym wzrokiem i lekki cień uśmiechu przebiegł jej usta dodając twarzy czaru i powabu. Kiedy podniosła wzrok na mnie, spojrzała śmiało, a tak jakoś pociągająco, iż oderwać oka nie mogłem od tego cudnego zjawiska i nie dziw, że serce straciłem. Muzyka naprowadzała nas na najpiękniejsze temata rozmowy. Mówiliśmy o uczuciach i o najpiękniejszem z nich.

Byliśmy sami.

Graliśmy wyjątek z „Fausta“. Ona grała z ogniem i czuciem, ja przelałem cały zapał mój w struny posłuszne.

— Ile tu uczucia — odezwała się gdyśmy skończyli.

— A jaka prawda w niem, jaki oddźwięk serca przebija w każdym tonie, akordzie i w każdej barwie melodji.

— Jak się zwie to uczucie — zagadnęła po chwili milczenia i spojrzała swem czarującem okiem w głąb mej duszy.

Rączką podparła główkę, czarne loki igrały z śnieżną jej dłonią, śliczna twarz uśmiechnięta jaśniała rajem dla mnie, który wpatrywałem się w nią, jak w bóstwo.

Nie wiem cośmy dalej mówili. Dziś brak mi tych pięknych słów, które wówczas z przepełnionego serca płynęły, dość, że wyznałem, iż znane mi to uczucie, że roztliło ono w głębi mego serca, że stało się całą moją istotą, że ona jest przedmiotem mej miłości, że ją kocham całą potęgą piersi młodzieńczej. Przykląkłem przed nią; ona wzruszona pochyliła się ku mnie, podała mi swą rękę i wyszeptała: kocham cię. Wyszeptała, bo głos jej tłumiło wzruszenie, ale ja słyszałem dobrze, wyraźnie: k o c h a m c i ę!..

Cóż ci dalej opisywać, mą miłość. Kochałem i byłem kochany. W dwudziestoletniem mem sercu zapanowało uczucie potężne i święte. Doznawałem rozkoszy, których ci opisać nie potrafię i nie chcę, bo byś się śmiał może ze studenta ubogiego, który się kocha w bogatej pannie, śni o niej, jak o bóstwie i rozkoszuje się w obrazie snów swoich.

Pracowałem więcej niźli przedtem. Połykałem prawie książki. O gdybyś mię był wówczas słyszał, kiedy zapytany przy egzaminie z literatury o znaczeniu uczucia w poezji i objawie jego w epoce romantycznej mówiłem z zapałem i przejęciem się, sypiąc poglądami i cytatami śpiewaków miłości. Profesorowie i koledzy dziwili się mej wiedzy i umiejętności — ja myślałem o n i e j, gdym mówił o Beatrice.

Jak długo to szczęście moje trwało, niech obliczą chłodni wielbiciele kalendarzy — dla mnie było ono chwilką i nieskończonością,.. (C. d. n.)

TEATR

„Skazany na całe życie“ dramat w 5 aktach napisany przez Giacomette'go, tłomaczony na język polski przez Celinę D., przedstawiony był dnia 15 marca b. r. na benefis panny Marji Wisnowskiej. Niezwykle zapełniona sala teatralna uroczyście oświetlona głównym żyrandolem, który od czasu występów p. Modrzejewskiej ociemniały i zawstydzony wcale się nie przyczynia do rozweselania publiczności — przedstawiała widok zajmujący, zwłaszcza, że loże parterowe i pierwszego piętra szczelnie były zajęte. Dramat, noszący właściwie tytuł „Ś m i e r ć c y w i l n a“ odznacza się dodatnią prostotą pomysłu, o sytuacjach jednak silnie wzruszających i głębokich pod względem psychologicznym. Szkoda tylko, że autor pisał sztukę dla jednego aktora — skutkiem czego inne postacie występujące w dramacie dość dosadne pod względem charakterystyki, jak np. ksiądz, słabo są powiązane z istotną treścią utworu, prawie nie stanowią jego organicznych części i jedynie ujawnia się w nich tendencja przekonań i poglądów społecznych samego autora. Odtworzenie postaci s k a z a n e g o n a c a ł e ż y c i e w grze p. Ładnowskiego wyszło potężnie. Gry tej z całego serca winszujemy p. Ładnowskiemu — przekonała nas bowiem, że artysta ten nie zstępuje z wyżyn sztuki, lecz sięga rękami, coraz wyżej... Szczerze również przyklaskujemy grze p. Podwyszyńskiego w roli księdza, grze umiejętnej, niepospolicie obmyślanej i wysoce naturalnej. Pani Nowakowska, która grała żonę s k a z a n e g o dość pobieżnie przez autora naszkicowaną, w niektórych wydatniejszych scenach, okazała całą imponującą siłę swego talentu. Benefisantka panna Wisnowska grająca czternastoletnią dziewczynę, nie wiele mogła zrobić ze swej roli, bo istotnie nie daloby się z niej dużo zrobić — stwierdzić jednak należy, że publiczność przyjęła ją na wstępie oklaskami i, że trzy bukiety spadły dla niej na scenę. Dwie małe i najkompletniej niewyraźne role, niezręcznie przyczepione do toku całego dramatu, odegrane zostały przez p. Lubicza i panią German bardzo starannie. Nakoniec jedną z głównych ról, ale także niewielkich zacnego doktora Palmieri, odegrał p. Woleński ze spokojem artystycznym i z tą cieniowaną umiejętnością, które cechują wytrawnego i zdolnego aktora. P. Dębicki w króciutkiej roli wyśmienicie odtworzył typ kościelnego sługi.

M. D. Ch.

Opera. „Halka“, którą dawano w przeszłą niedzielę zgromadziła liczniejszą, jak zwykle operową publiczność. Dzielnym Jontkiem był p. Cieślewski, wybornym Januszem p. Chodakowski — goście z Warszawy. Śliczny śpiew pani Skalskiej, jak zwykle rozrzewniał i zachwycał słuchaczy, a pani Guerard, bardzo starannie odśpiewała partję narzeczonej — uroczo i ślicznie wyglądała w białej, ślubnej toalecie, która zresztą pięknej kobiecie zawsze jest do twarzy, może właśnie dlatego, że jeszcze znajduje się przed progiem rzeczywistości, która się nazywa małżeństwem...

M. D. Ch.

Koncert chóru mezkiego towarzystwa muzycznego pod kierownictwem p. Karola Mikulego, wyróżniał się pod pewnemi względami od wielu innych koncertów danych przez tow. muzyczne. Słyszeliśmy, bowiem, trzy piękne utwory naszych kompozytorów, które żywiej potrafiły do nas przemówić. Pieśń W. Żeleńskiego: „Nasza Hanka“ wykonana z prawdziwem uczuciem przez liczny personal chóru, i krakowiak Moniuszki: „Wesół i szczęśliwy“ ujęty w ramy chóru przez W. Żeleńskiego, powitano hucznymi oklaskami. Przyznać trzeba, że do wywołania efektu, wiele się przyczyniło wzorowe odśpiewanie — i doskonałe odczucie poezji ludowej — że chór męski licznie zebrany wybornie oddawał szum Wisły, odgłos kopyt końskich na którym pędzi młody krakus, któremu „gore w łonie“. Trzecim oryginalnym ustępem był chór z „Mnicha“ K. Mikulego, z towarzyszeniem organów. Pieśń poważna, głęboka, majestatycznie oddana, uczyniła, jak najlepsze wrażenie i wywołała głośne oklaski, którymi dziękowano panu Mikulemu za tak piękną kompozycję.

Zakończyła ten koncert „Puszcza“ Dawida z chórami, orkiestrą i deklamacją. Jestto prawdziwe arcydzieło bogactwa tonów i fantazyj. Marsz karawany, hymn do nocy i pieśń Muezzima policzyć można, do najpiękniejszych numerów w tej symfonji. Wykonanie całości było tak artystyczne, że uważamy za rzecz zbyteczną rozwodzić się nad tem. Chór męski przedstawił się nam, jak najkorzystniej. Pan Belza przyjął na siebie część deklamacyjną, którą wypowiedział, jak mógł najlepiej.

Bolesławicz.

Potoczne wiadomości teatralne. — Zanosi się w naszym personelu teatralnym na liczne zmiany. Pani German ustępuje, a miejsce jej ma zająć p. Więckowska. Pani Zimajer opuszcza także scenę lwowską, i o ile wiemy przenosi się do Krakowa. Z mężczyzn: pp. Podwyszyński i Sachorowski podobno mają być zaangażowani także do Krakowa.

— Benefis p. Ładnowskiego, który wystąpi w tragedji p. t. „Antoniusz i Kleopatra“, odbędzie się dopiero po świętach.

— Z Warszawy donoszą nam, że p. Rapacki niedługo wybiera się na gościnne występy do Lwowa.

— Dowiadujemy się, że p. St. Dobrzański, artystyczny dyrektor naszego teatru, leczy się obecnie w Wiedniu w jednej z najlepszych tamtejszych klinik. Do kraju przybędzie, gdy się zupełnie ciepło ustali, i natychmiast uda się na wieś, a ztamtąd na zimę do Włoch. Teatrem przez dłuższy czas zajmować się wcale nie będzie.

Korespondencje.

Z Piwnicznej.

Dobrze to jest czasem wyjechać do miasta, bo człowiek oprócz ruchu i życia, widocznie odczuwa ducha jaki wieje postępem w przeróżnych kierunkach objawiając się z dniem każdym oczywistą zmianą tego, co to nazywamy „wczoraj“. Już to w ogóle wieś jest konserwatywną, a czy to równie dobre i które jest lepsze? to tylko Bogu samemu wiadomo, albowiem, jak z jednej strony zależy od cnót jakich się ima konserwatyzm, tak z drugiej od kierunku, w jakim postęp kroczy, i czy takowy rozwija się na podstawach moralnych mianowicie na tych, na których ludzkość od lat 700 się rozwijała uprawniając podstawy i stanowiska wiedzy już zdobyte. Reminiscencje w tym kierunku nasuwają przeróżne uwagi, a to tak pod względem administracji ekonomiczno-politycznej, jak i co do wychowywania ludzkości, zwłaszcza, że gruba materja wywiera niestety nad stroną duchowną wpływ przeważny, a my wiemy to z doświadczenia, ile to część lepsza walk staczać musi, zanim jej się uda niekiedy odnieść zwycięstwo, a bez gruntownych zasad człowieczeństwo byłoby bardzo biedne. Niestety, że pod tym względem nie widzimy reakcyi ku lepszemu. Jakkolwiek uwaga to nader ważna, tym razem zostawiamy jej rozbiór mężom u steru będącym, i naszej delegacji znającej stosunki krajowe, zaś publicystom bezustanne nawoływanie, jako na czatach ludzkości stojącym. A tymczasem podzielę się z wami nowinkami z miasta.

Czytaliście może w „Dzienniku Polskim“ z 10 grudnia i 14 stycznia nieco o Sączu, jakoby był rozdzielony na stronnictwa. Otóż przyznam się wam otwarcie, że tych uwag nie podzielam. Radni, jak Gutowski i inni kroczą w jedno, — a każdy z burmistrzów działa wedle sił dla dobra miasta; wszystko też dąży do ładu i porządku w mieście. Bo jak za p. Płohockiego pobrukowano ulice i posprawiano la-

tarnie, tak za dr. Olszewskiego poplastrowano chodniki i poupiększano domy, a za tej rady wiele domów przybyło — jedno tylko byłoby do życzenia, aby zwrócono więcej uwagi na czystość w zaułkach, i pamiętano o uprzątnieniu pognoju z środku rynku, wreszcie o zgartywaniu błota z ulic, jakie powstało z niewywiezionego śniegu. Bo tak przecież za Johanidesa i Gutowskiego nie bywało. Co do życia umysłowego, to rozwija się w Sączu w całej pełni. I tak, w czytelni mieszczańskiej są co niedziela odczyty, a zawsze w poczciwej dążności. Jam trafił np. na odczyt prof. Kisielewskiego. Traktował on rzecz o Sączu, dotykając wiele zajmujących, a nieznanych szczegółów, które czerpał częścią z archiwów miejskich, częścią z akt kościelnych, przez co rozbudza zamiłowanie do rzeczy swojskich i zakątków ojczystych. Niedzielę przedtem miał dyrektor p. Ostrowski o minerałach z okazami. Na przyszłą znów niedzielę, ilem słyszał, będzie miał odczyt kapitan Szafirski o oświacie ludowej, i o pracy w zastosowaniu do rzemiosł — połączając artyzm i pożytek, z poglądem na rozwój industryjny, czego dowodem są np. arcydzieła sztuki rękodzielniczej, wydobywane z grobowców, lub odgrzebywane w Pompei — (jak etruskie naczynia) i t. p. Na następną znów sobotę dr. Trębecki, a właściwie komitet bursy urządza koncert, pp. (Sandecki i Desberger) na rzecz takowej bursy, tak co tydzień, dzięki pełnych serc mężów nauki, i ludzi dobrej woli, zawsze publiczność sądecką trafia jakaś miła niespodzianka, w której życie miasta objawia się w nader korzystnem kierunku. Ku temu jeszcze bawi w Sączu teatr p. Piotra Woźniakowskiego, dyrektora trupy prowincjonalnej, o żelaznej wytrwałości. Ileż to już towarzystw wypisało sobie na pomniku *finis*, a p. Woźniakowski stoi jak stał zawsze...

Jest to szczególniejszy dar kierowniczy, obrót zastosowany do potrzeby i okoliczności. I tak n. p. wypadnie w interwałach jakiś koncert, lub wieczorek prywatny na dobroczynne cele, zaraz baczne oko p. Woźniakowskiego dostrzeże bezrobocie, a ztąd i materjalne bankructwo towarzystwa, (bo przecież żołądek nie znosi zawodów), a zmysł administracji popycha dyrekcję natychmiast na parę przedstawień do najbliższego miasteczka — poczem znowu zawija do dawnego portu. Toż p. Woźniakowski cieszy się dobrem towarzystwem, bo każdy żołnierz chętnie staje pod sztandarem przezornego wodza.

P. Woźniakowski wybrał Sącz na zimowe leże, i tu poszedł za głosem swego organizatorskiego poglądu, bo ludność bawi się tu chętnie, a szczera, w tem co swojskie, dzieli się ochoczo sercem i komnatą. Za co znowu dyrekcja zdrowemi karmi ją potrawami, czem niejako zobowiązuje publiczność do uczęszczania na przedstawienia. Jest to wzajemny stosunek oparty na korzystnem wzajemnem oddziaływaniu. Poczyniwszy te uwagi co do dyrekcji, teraz przystąpimy do treści samej. Być w Rzymie... jak to mówią — otóż byłem i w teatrze, grano wtedy „Zamek na Czorsztynie“ (operetka Kurpińskiego), i „Godzina małżeństwa“ (z francuskiego) lekka to farsa salonowa, nad którą nie zatrzymując się długo, wspomnę pobieżnie, że tę odegrano ze wszystkiemi znamionami subtelnych odcieni. Zajmująca była scena zaklopotania Marcelego (Molski), zaś trwoga i ambaras Konstancji (Gartyńskiej), w chwili poznania dawnego kochanka St. Angera (Woźniakowski), zaś rozczarowania wuja Germenil (Gorzkowski) w chwili wyjaśnienia intrygi. Gra aktorów była należyta, i składała się w dość dobrą całość.

Więcej uwag poświęcimy operetce „Zamek na Czorsztynie“ — bo tu wszystko nasze, wszystko znajome, przemawiało do serca napawając umysł jakąś smętną zadumą. Bojomira grał Woźniakowski z prawdą, a charakterystyka cofała nas w minione wieki, dając nam przed oczy typ bohaterskości naszych ojców. W roli Wandy występowała Woźniakowska, a postać uplastyczniła łudząco nieszczęśliwą obłąkaną. Chwila poznania się kochanków była porywającą. Molski jako Dobrosław dał nam poznać typ właściwej powagi przedwiekowego pana zamku. Rola Łucji, acz mniej wybitna, przez nią Kiczman oddana, uzupełniała całość. P. Kiczman w roli górala Nikity był niezrównany i bawił publiczność ciągłą wesołością. Co do chórów, te wypadły należycie, przyczem zauważyliśmy gładki baryton Molskiego, a wysoką i czystą skalę pni Woźniakowskiej; grzmiące oklaski były grających nagrodą. Tyle o sztuce dzisiejszej. Ale ze szczątków na rogach ulic zdartych afiszów widać, że grano „Mazepę“, „Gwiazdę Sybiru“, „Paziów“, a repertoarz przysposobił już „Qui pro quo“, „Kiedyż objad“, „Konopianki“, „Kampania przegrana“ i t. p. sztuki obyczajowe, a to wszystko nasze i wysoko moralne. To nam tłomaczy, czemu w obec nieświetnych czasów teatr p. Woźniakowskiego trzyma się, i prosperuje, bo ucząc nas języka, a obznajamiając z przeszłością, obudza i podtrzymuje ducha narodowego, dla tego też publiczność pospiesza krzepić się tak zdrowym pokarmem.

Cześć mężom, których zadaniem jest sztuka,
Za kromkę suchą, a skąpo łamaną.
Dają myśl, w swojską szatę przyodzianą;
Dzieląc się z nami wiedzą i nauką.

Ale jak słyszałem, niekiedy wypada im grać i przed pustemi ławkami. Gorżko to, gorżko łamać się z przykrościami życia, zwłaszcza, gdy to życie poświęcone jest apostołowaniu sprawy ojczystej. Krocząc po ciernistej drodze, wśród swoich, bez poparcia, a jednak nieustawać w nawoływaniu czem jesteśmy, a czem być powinniśmy — i na tych czatach narodowych... ginąć z głodu!... Naród, który takich swych synów zapoznaje, i głos ich puszcza mimo uszu. Taki naród zrzeka się swej przyszłości. Możeby Wysoki Sejm raczył uwzględnić raz przykre położenie takich apostołów kraju, a gdy daje na przeróżne cele drogowe i mostowe, niechajby zdecydował się nareszcie dać co i na podniesienie ducha narodowego — będzie to datek, najbardziej się rentujący, a kraj pochlubi się ojcami, co podtrzymując polskość, istotnie dbają o przyszłość narodu. *Wincenty Dąbrowski.*

Kronika zagraniczna.

Chimborazo, najwyższy wierzchołek Andów, zwiedzony dokładnie został w początkach stycznia b. r. przez trzech śmiałych podróżników niemieckich.

W dniu 5 miesiąca tego, po przezwyciężeniu strasznych przeciwności, dostali się oni na szczyt góry, zkąd im się ukazał wspaniały, choć groźny zimowy krajobraz.

Jeden z podróżników p. Whymper, pisze, iż drapiąc się pod górę, o mały włos nie przypłacili tej śmiałości życiem, a od mrozu tyle ucierpieli, iż sądzili, że ze zmarzłymi członkami powrócą na dół.

Czwarty to raz dopiero, na wierzchołku tej stromej góry postała noga ludzka.

Inżynierja nie próżnuje...

Zaledwie tunel pod górą św. Gotbarda ukończony został, aliści pracuje ona gorliwie nad utworzeniem nowego, niemniej trudnego do wykonania.

„Courrier de Lyon“ donosi, że w tym roku ukończony zostanie niezawodnie tunel pod górą Lepine, który w szeregu europejskich tunelów zajmie trzecie z rzędu miejsce. Tunel ten zasługiwać będzie z tego względu na uwagę, iż prowadzony on jest z dwóch przeciwnych stron, bez pomocy tak nazwanych „studni“ t. j. wierceń z góry. Cała jego długość wyniesie 3.062 metry.

Wielkie niedawno zrobiła wrażenie pewna dama z Nowego-Jorku, która na obiedzie wydanym w „Białym domu“ dla ambasadora meksykańskiego, miała na sobie brylanty wartości 800.000 dolarów... Podczas przyjęcia, dwóch policjantów w ubiorze cywilnym czuwało nad bezpieczeństwem pani Astor, a raczej nad jej klejnotami, jeden zaś stał w dzień i w nocy na straży u drzwi zajmowanego przez nią pokoju w hotelu.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Wdowiszewskiemu w Sanoku. Prosimy o odesłanie nam należności.

P. J. C. w R. Jest różnica pomiędzy kochać, a miłować.

P. C. D. we L. Wiersze pańskie poszły pod wielkanocne placki.

P. Mar. w L. W teatrach, atmosfera jest bardzo sprzyjająca dla miłości i... nienawiści, ale to się dzieje we wszystkich teatrach na całym świecie...

Nadesłane.

Przybyłem do Lwowa, aby na święta wielkanocne porobić różne sprawunki — ma się rozumieć, wino na wielkanoc to grunt mości dobrodzieju. Myślę sobie, stare firmy dobre, ale młode bywają czasem lepsze, bo chcą zostać staremi, a na to trzeba pracować, i uczciwie pracować, więc tedy rżnę do pana Padewskiego, który niedawno założył pyszny sklep w Rynku pod l. 13 we Lwowie. Próbuję jedno wino, drugie — delicje! a no więc się tam z parę tuzinów butelczyn zakupiło, przyjechawszy do domu, trza było tego wszystkiego popróbować, bo trzeba wiedzieć czem się gości ma częstować. Po tej tedy próbie przekonałem się, że wina u p. Padewskiego są wyborne i tanie, a tak mnie zasmakowały, że przyjechałem znowu do Lwowa, aby zrobić drugi zakup, bo pierwszy zanadto próbami nadwyrężyłem, sumiennie tedy polecić mogę p. Padewskiego, i ręczę, że ani gospodarz, ani ja, wstydzić się tego nie będą.

(407-1-1) *R. S. obywatel ziemski.*

Nadesłane.

Prawie nigdy nie spotykamy się z utworami muzycznemi oryginalnemi i transkrybowanemi na cytrę — otóż wyszły na widok publiczny utwory muzyczne oryginalne p. Emila Kalinowskiego biegłego artysty na tym instrumencie i cenionego nauczyciela — oprócz oryginalnych utworów, ułożył także artysta ten ważniejsze i popularne wyjątki, z różnych oper włoskich i polskich, np. ze „Strasznego dworu", „Halki", i melodji polskich — utwory te znajdują się po wszystkich księgarniach we Lwowie do nabycia, i u kompozytora przy ul. Koralnickiej l. 6.

(393-1-1)

Butelka wina 50 ct.

Butelka dobrego Zieleniaku 50 ct.

Na święta!

poleca

J. PADEWSKI

Rynek l. 13,

WINA **węgierskie, austryackie, francuskie, reńskie, hiszpańskie, szampańskie.**

Ceny najumiarkowańsze, począwszy od **50** ct. za butelkę wytrawnego Zieleniaku.

☛ Celem ułatwienia wyboru WIN są zawsze w handlu próby dla łaskawych P. T. odbiorców otwarte. (4 9-?-1)

Butelka dobrego Zieleniaku 50 ct.

Butelka wina 50 ct.

Kto chce tanio kupić! niech się uda do składu sukień męskich **J. Chigera** we Lwowie przy ulicy Halickiej pod l. 32. w domu p. Mrazka naprzeciw c. k. Sądu krajowego, a tam dostanie gotowe ubrania, według najświeższej mody z najlepszych krajowych i zagranicznych materyj po najumiarkowańszych cenach. Zamówienia przyjmują się i reparacje uskuteczniają się jak najlepiej. (405-4-1)

NA ŚWIĘTA!

W. MARSZAŁKIEWICZ

we Lwowie ul. Krakowska l. 6,

sprzedaje najtaniej:

Lipnicki	Cukier w głowie . 50 i 51 ct.	za 1 kilogram.
	„ częściowo . . . 52 „	
	„ w kostki . . . 54 „	
	„ w mączce . . . 54 „	
	Kawa Ceylon perłowa . . złr. 2·—	
	„ „ gruboziarnista „ 2·—	
	„ Jawa złota . . . . „ 2·—	
	„ Mokka . . . . . . „ 1·84	
	„ inne gat. po zł. 1·60, 1·44 i 1·36	
	Herbaty chińskie najprzedniejsze po złr. 4, 3, 2, 1·60 i 1·20	funt.
	Wysiewki . . po złr. 1·40 i 1·20	

Owoce południowe, korzenie, wiktuały, sery i t. p.

WINA węgiersk. austrjack. i inne. Zieloniaki po ct. 65, 75, 80, zł. 1 i 1·20

Piwa butelkowe

pół litrowa flaszka Leżaka 9 cnt.

Drożdże prasowane wiedeńskie niezawodne.

Cenniki szczegółowe rozsełam na żądanie franko i gratis. — Odbiorcom towarów nad 25 złr. za gotówkę z wyłączeniem cukru, odsyłam kupione w moim handlu towary franko do wskazanej stacji kolei galicyjsk. (396-2-1)

Izydor Wohl

ulica Sykstuska Nr. 6 we Lwowie.

JEDYNY WYŁĄCZNIE

Skład HERBATY rosyjskiej

konkurując przez najskrupulatniejszą rzetelność!

(3 9-4-1)

Orange & Zangen

we Lwowie

dom komisowy ul. Krakowska l. 4,

utrzymują permanentnie na składzie cukry jako raffinady, melisy kostki i mączkę z c. k. uprzyw. fabryki chropińskiej, również bernceńskiej, i słowem wszystko, co tylko w zakres handlu korzennego wchodzi. (402-4-1)

Jabłoński, *we Lwowie przy ulicy Szajnochy l. 5,* (czyli Sykstuska l. 15) poleca obficie zaopatrzony magazyn ubiorów męzkich gotowych i zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. (395-4-1)

Herbaty prawdziwe chińskie

w gatunkach doborowych i bez zapożyczonych nazw, nad które lepszemi nikt nazwać nie może. A mianowicie z mocno aromatycznych i dobrze naciągających **Congo i Souchong** lub łagodnej z natury **Pecco** które po niutejszej cenie sprzedaję:

Cena za ½ k/g. wagi netto.

Congo Nr. $0/_{1\cdot20}$, $1/_{1\cdot50}$, $2/_{2\cdot00}$, $3/_{2\cdot50}$
Souchong „ $1/_{2\cdot00}$, $2/_{2\cdot50}$, $3/_{3\cdot00}$, $4/_{4\cdot00}$
Peccko „ $6/_{3\cdot00}$, $7/_{3\cdot50}$, $8/_{4\cdot00}$.

Rum Jamaica bezsprzecznie najprzedniejszy

	butelka cała	Nr. 3	złr. 1·50	także w ½ i ¼ butelkach.
wyborny stary	„ „	„ 2	„ 1·20	
bardzo dobry	„ „	„ 1	„ 1·20	

Wina stołowe i desserowe naturalne w najlepszych jakościach, podług osobnych cenników.

Masę do posadzki, ogólnie w kraju jaki zagranicą za najlepszą uznano. Wyrób własny i pod rządownie zatwierdzoną marką ochronną w ½ i cało-kilogramowych pudełkach z dokładnym opisem użycia

poleca

O. T. Winckler

we Lwowie (dom narodny). (412-2-1)

NA ŚWIĘTA

Poleca szanownej publiczności własny wyrób i ze swojej własnej pracowni od 30 lat istniejącej, a osobliwie w tym roku zadał sobie wielkiej pracy, ażeby publiczność była zadowolniona, i przysposobił wielki zapas to jest **szynek, kiełbas polskich** krajanych i siekanych, pieczonych do gotowania, także **polędwicy i sponderki**, oraz cielęcina marynowana i wędzona, **i różne delikatesy wędlinarskie** w najlepszych gatunkach i po najumiarkowańszych cenach. Wszelkie zamówienia z prowincji uskutecznia szybko odwrotną pocztą i za dobroć towaru ręczy

Franciszek Underka. (400-4-1)

Nowe kapelusze filcowe

najnowszego fasonu i wszelkiego koloru po złr. 1·80, 2. 2·50, 3, 3·50, 4, 4·50, 5, 5·50, **CYLINDRY** po złr. 3·50. 4, 5, 6, 7, i prawdziwe angielskie z najlepszego gatunku po 8 złr. Poleca niżej podpisany szan. P. T. publiczności, zwracając uwagę szczególnie panów wających z prowincji, aby w dorozumianym własnym interesie nijali sposobności, i pozwolili sobie miarę za pomocą wynalezionego przyrządu, zwanego **konformatorem.** Osobliwie zwraca się uwagę na **kapelusze filcowe na galecie, o podwójnych krysach, które nigdy się nie łamią, jakoteż nie przepuszczają gumy na powierzchnię kapelusza, jak to się dzieje z zwykłymi pojedyńczemi kapeluszami filcowemi.** Za kapelusze filcowe na galecie daje się dwuletnią gwarancję.

(404-3-1) **A. FIALA**

fabrykant kapeluszy we Lwowie.

Dentysta. Najpiękniejsze do podobne własnych zupełnie **sztuczne zęby i ale szczęki** wprawia bez bólu podług najnowszego amerykańskiego systemu; **ból zębów** usuwa szybko za pomocą środków niezawodnych, **zanieczyszczonym** zębom powraca naturalną barwę, dziurawe zęby plombuje złotem, srebrem, cementem i t. p. **MARK,** ukończony dentysta na wszechnicy wiedeńskiej, mieszka w Przemyślu. (394-6-1)

Pracownia (403-4-1)

rzeźbiarska i kamieniarska Périèr i Gorgolewski

we Lwowie ulica Piekarska l. 21,

utrzymują wielki skład gotowych pomników granitowych, marmurowych i ciosanych. Również wykonują posągi, popiersia, tarcze herbowe itd. Przyjmują także zamówienia na prowincję.

PIERWSZA KRAJOWA FABRYKA

Fortepianów i pianin

Franciszka Woronieckiego w Jaśle

poleca Szanownej Publiczności swój od trzech lat istniejący zakład fabryczny fortepianów i pianin, jako to: fortepiany najnowszego systemu i konstrukcji, o znacznie zniżonych cenach, począwszy od ceny 260 złr. — Poleca także instrumenta na miesięczne raty, stare przyjmuje w zamian lub do przerobienia lub reperacji. Za trwałość, dobroć i sumienność zjednała sobie fabryka licznych kupujących, a przez publiczne pisma kilkakrotną podziękę. Poręczenie 10 lat. Cenniki rozsyła bezpłatnie.

Salon fortepianów i fabryka w Jaśle.

Filia u p. Sziffera w Jarosławiu.

Na święta wielkanocne

J. C. Staff

we Lwowie, ul. Karola Ludwika

poleca swoją Cukiernię obficie zaopatrzoną w różnego rodzaju ciast, cukrów, ko fitur, słowem we wszystko, co tylko w zakres cukierniczy wchodzi; oraz różne z cukru baranki, pisanki, kwiaty itp.

Wszelkie zamówienia uskutecznia szybko i po cenie najtańszej i z najświeższych ciast. 397-4-1

Jan Jakimecki w Przemyślu ul. Lwowska, we własnym domu l. 102, poleca szan. P. T. Publiczności swój **Magazyn i pracownię sukień męskich.** — Mam zaszczyt zawiadomić sz. P. T. Publiczność, że prócz istniejącego od ośmiu lat zakładu we Lwowie, otworzyłem pracownię sukień męskich w Przemyślu, gdzie posiadam świeże i najlepsze towary, tak zagraniczne jak i krajowe, i wyrabiam z takowych ubiory modnie i tanio. — Zamówienia miejscowe i zamiejscowe uskuteczniam akuratnie i szybko. (191-12-9) *Jan Jakimecki.*

Znaną jest od kilkunastu lat piwnica p. Fedorowicza przy ul. Ormiańskiej vis a vis p. Wincklera, w której to jest kilkanaście gatunków win węgierskich i austrjackich, a że p. Fedorowicz przeprowadza się wkrótce na ul. róg Dominikańskiej, gdzie był Stadtmüller dla tego powyższe wina **nadzwyczaj tanio** sprzedaje — przytem poleca **wódki własnego wyrobu bardzo dobre.** (392-2-1)

W zakładzie ortopedycznym

Dr. Edwarda Madejskiego

we Lwowie ul. Kopernika l. 13

przyjmuje się ułomne, lub ułomnością zagrożone dzieci, jak: z skrzywieniem kości pacierzowej, z krzywemi nogami, kontrakturą wszelkiego rodzaju — do wyleczenia za pomocą gimnastyki leczniczej i przyrządów ortopedycznych.

W tym zakładzie urządzone są także dwa pokoje z wszelkiemi wygodami i z łazienką na wzór zagranicznych *maison de santé* dla chorych, którzy dla dalszej kuracji do Lwowa zjeżdżają, pozostawiając chorym wybór lekarza.

Bliższych szczegółów udziela właściciel i dyrektor zakładu ustnie, lub pisemnie pod powyżej podanym adresem. (240-2-2)

CORNED BEEF

z St. Louis w Ameryce

Wołowe mięso bajcowane, gotowane i zupełnie do stołu przyrządzone, znakomite na zimne przekąski, a bardzo wygodne dla podróżnjących, w puszkach blaszanych hermentycznie zamkniętych zawierających funtów wagi angielskiej:

1 2 6 i 10
po ct. 70, zł. 1.30, zł. 3·60, zł. 5.50

częściowo krajany po zł. 1.60 za kilo.

Główny skład dla Galicji w handlu

St. Markiewicza

Lwów, Rynek l. 42. 158-13-7

Jan Rybiński przy placu Bernardyńskim l. 3

poleca swój magazyn obuwia męskiego i dziecinnego z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego, podług najnowszej mody wykonane i po najtańszej cenie. Wszelkie zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. Na zamówienia z prowincji uprasza się na miarę przysłać stary (364-4-3) bucik.

Na zbliżające się święta Wielkanocne!

Dyrekcja Towarzystwa spożywczego we Lwowie plac Dominikański nr. 1, donosi P. T. członkom swoim że zaopatrzyła swój skład: Mąką nr. 00, suchą tak zwaną świąteczną, oraz świeżemi zapasami rodzenków, daktyli, migdałów, fig etc. etc.

Przedewszystkiem poleca wyborne **wina** tanie i zdrowe mianowicie:

Węgierskie	Tokaj 5 et.	but.	à zł. 1·20	ct.
	Hegyaljai	„	„ 80	„
	Hegyaljai	„	„ 70	„
	Zieleniak	„	„ 50	„
	Ruster	„	„ 90	„
	Budaj czerw.	„	„ 60	„

Francuskie wprost z Bordeaux sprowad.
Chateau Lamothe czerw. but. zł. 1·10
Sauternes doux białe „ „ 1·20

Wódki Cognac prawdziwy francuski po złr. 1·80 i 1·50. — Śliwowica prawdziwa Syrmska tudzież różne rozolisy gdańskie i zwyczajne, czysta żytniówka litr po 60 ct.

Tydzień przed świętami nadejdą indyki, kapłony, kaczki itd.

Masła do pieczywa ogromny zapas, deserowe codzień świeże.

Drzewo z własnego składu, — **chleb** żytni, razowy, pszenny, i bułki z własnej piekarni. (361-4-4)

Kartofle wyborne, 1 korzec wagi 100 k. złr. 3·50 z odstawą do domu.

Zakład fotograficzny L. Błachowskiego

we Lwowie (375-4-3)

ulica Pańska (Kręcone słupy) nr. 504¼.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.

Dodatek powieściowy
do
DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy patrz Dodatek Nr. 9).

XV.

Wejście do Paryża.

Znaczna przestrzeń dzieliła nas jeszcze od Paryża i znów trzeba było przebywać drogi zasypane śniegiem, iść od rana do wieczora pod mroźny północny wiatr, wiejący prosto w oczy.

Jakiż to smutny był ten nasz pochód! Vitalis szedł naprzód, ja za nim, a Capi przy moich nogach.

Szliśmy ciągle po drodze oślizlej, lub pełnej grudy, nie zatrzymując się i nie używając innego wypoczynku, prócz godzin nocnych śpiąc w stajniach lub owczarniach, za cały posiłek mając mały kawałek chleba, niestety! zastępujący nam obiad i kolację. I to uważaliśmy się za szczęśliwych, gdy nas wpuszczono na noc do owczarni, bo tam przynajmniej ciepło nam było; a przytem był to właśnie czas przybywania jagniąt i owczarze pozwalali mi czasem wydoić owcę mającą zbyt wielką obfitość mleka. Nie mówiliśmy jednak nigdy, że umieramy niemal z głodu, lecz Vitalis z właściwą sobie zręcznością, umiał nadmienić mimochodem, że chłopiec bardzo lubi owcze mleko, gdyż był przyzwyczajonym pić je w dzieciństwie i to mu przypomina rodzinne strony. Nie zawsze, jednak udawał mu się ten wybieg. Lecz te dnie, w których uwierzono tej bajeczce, uważałem za nader fortunne. O tak, lubię bardzo mleko owcze i skoro go się napiję wieczorem, czuję się nazajutrz rzeźwiejszym i pokrzepionym.

Kilometry przybywały do kilometrów, przystanki do przystanków i coraz więcej zbliżaliśmy się do Paryża, a gdyby mi nawet nie były tego mówiły słupy drogowe, byłbym się domyślił po zwiększonej liczbie przejeżdżających i przechodzących rozmaitych ludzi, oraz po kolorze śniegu znacznie tutaj brudniejszym aniżeli w dolinach Szampanii.

Było to rankiem, po nocy spędzonej na folwarku, należącym do wioski zowiącej się Boisy-Saint-Leger, jak o tem świadczyły błękitne tablice, poprzybijane na drogowskazach. Wyruszyliśmy ztamtąd o świcie i po okrążeniu muru otaczającego park i przejściu wioski w całej długości, ujrzeliśmy ze ze szczytu wzgórza, chmurę dymu unoszącą się po nad olbrzymiem miastem, w którem tylko kilka wynioślejszych gmachów wybijniej się odznaczało.

Roztworzyłem szeroko oczy, by się rozpatrzeć w tym chaosie dachów, dzwonnic i wieżyczek ginących w mgle i dymie, gdy właśnie Vitalis zwalniając kroku stanął obok mnie.

— Oto i życie nasze ulegnie zmianie — odezwał się, jak gdyby prowadził dalej, dawno rozpoczętą rozmowę — za cztery godzin staniemy w Paryżu.

— Ach! więc to Paryż rozciąga się tam poniżej?

— Tak.

I właśnie w chwili, gdy mi Vitalis wskazywał Paryż, jasny promień słońca przedarł się przez chmury, oblewając miasto na jedno mgnienie oka złocistym blaskiem.

Bezwątpienia nie pomyliłem się, zobaczę drzewa o złotych liściach.

Vitalis mówił dalej:

— W Paryżu rozstaniemy się.

W tym momencie chmury, znów się zwarły i nie widziałem już więcej złotych drzew.

Zwróciłem oczy ku Vitalisowi, a i on także patrzał na mnie i zapewne bladość moja oraz drżenie ust powiedziały mu co się we mnie działo.

— Niespokojny jesteś — rzekł — a jak mi się zdawało i jemu także nie bardzo było wesoło na duszy.

— Rozstaniemy się? — zawołałem oprzytomniawszy po chwili zdumienia.

— Biedactwo!

To słowo, a szczególniej głos, jakim zostało wymówione, wywołało łzy z mych oczów; tak już dawno nie słyszałem serdeczniejszego słowa.

— Ach! jesteś pan dobrym — wykrzyknąłem.

— To ty jesteś dobrym, poczciwym dzieciakiem o szlachetnem sercu. Widzisz, przychodzą w życiu chwile, w których jest się usposobionym do uznania tych rzeczy i człowiek się wzrusza. Bo gdy wszystko składa się pomyślnie, idzie się drogą życia nie myśląc o współtowarzyszach, lecz skoro los się zmieni i spotyka się tylko same przeciwności, a szczególniej, gdy się już jest starym, to jest bez wiary w jutro, wówczas, czuje się potrzebę wsparcia na tych którzy nas otaczają i doznaje się szczęścia znajdując ich w około siebie. Abym ja się miał wesprzeć na tobie, zdaje ci się to dziwnem, nieprawdaż? A jednak tak jest. A nawet przez to samo, że widzę łzy w twych oczach, doznaję już ulgi. Bo i mnie także mój Romciu bardzo przykro.

Później dopiero, gdy miałem już kogo kochać, uczułem i zrozumiałem całą prawdę powyższych słów.

— Na nieszczęście, odezwał się znów Vitalis, tak już jest zawsze, że wtedy trzeba się rozstawać, gdy właśnie pragnęłoby się silniej jeszcze zjednoczyć.

— Lecz — wtrąciłem nieśmiało — nie zechcesz pan przecież porzucić mnie w Paryżu?

— Bezwątpienia nie, nie porzucę cię, wierzaj mi. Cóż byś w Paryżu robił, sam, biedne dziecko. A przytem nie mam prawa porzucać cię, gdyż z chwilą w której nie chciałem cię powierzyć staraniom tej zacnej damy pragnącej zająć się tobą, sam przyjąłem moralne zobowiązanie wychowania cię, jak będę mógł najlepiej. Niestety! nieprzychylne okoliczności stawiają mi do tego zaporę. Obecnie nie mogę nic zrobić dla ciebie, i dla tego myślę się z tobą rozłączyć, nie na zawsze przecież, lecz tylko na kilka miesięcy, abyśmy mogli obydwaj przeżyć jakkolwiek tę zimę. Za parę godzin przybędziemy do Paryża, a cóżbyśmy tam robili skoro cała nasza trupa ogranicza się teraz do jednego tylko Capi? Pies usłyszawszy swoje imię, usiadł przed nami i przykładając najpierw łapę do ucha salutował nam po wojskowemu, a następnie położył ją na sercu, jak gdyby chciał przez to wyrazić, że możemy liczyć na jego przywiązanie.

A w chwili, w której znajdowaliśmy się właśnie, nie przyczyniło się to wcale do zaspokojenia naszego wzruszenia.

Vitalis umilkł na chwilę i głaskał psa.

— I ty także — rzekł — jesteś poczciwym psem; lecz niestety! na tym świecie nie można żyć dobrocią tylko; potrzebną jest ona dla szczęścia otaczających nas, lecz trzeba także i coś innego, czego my właśnie nie posiadamy. Bo powiedz sam Romciu, cóż możemy zrobić mając jednego Capi tylko. Pojmiesz zapewne, że nie jesteśmy w stanie dawać przedstawienia.

— To prawda.

— Ulicznicy nawet wyśmiewaliby się z nas, obrzucając ogryzkami jabłek i kto wie, czy potrafilibyśmy zebrać chociaż dwadzieścia soldów dziennie, a czy moglibyśmy żyć we troje z dwudziestu soldów? Szczególniej, gdy w dnie słotne zbrakło by nam i tego?

— A moja arfa?

— Gdybym miał dwóch chłopców takich, jak ty, uszło by może jeszcze, ale taki stary jak ja, z jednym takim, jak ty dzieciakiem to zły interes.

— Nie jestem na to dość jeszcze zgrzybiałym, — mówił dalej Vitalis. Gdybym był więcej sterany, lub naprzykład ślepy... Lecz na nieszczęście jestem takim jakim jestem, to jest niezdolnym wzbudzać litość, a w Paryżu trzeba być w bardzo opłakanym już stanie, by módz wzruszyć ludzi spieszących za własnemi sprawami, — i to jeszcze trzeba bezwstydnie wyciągać rękę, a tego nie potrafiłbym zrobić nigdy. Musimy wynaleść coś innego. I oto co pomyślałem i postanowiłem. Wynajmę cię aż do końca zimy jakiemu *padrone*, który pomiędzy innemi dziećmi użyje cię do grania na arfie.

— Wspominając o arfie nie o takiem zakończeniu sprawy myślałem.

Vitalis nie pozostawił mi czasu na wtrącenie chociażby jednego słowa.

— Ja zaś, — ciągnął dalej, — będę dawał lekcje na arfie, kobzie i skrzypcach włoskim dzieciom, grywającym po ulicach Paryża. W Paryżu znają mnie, byłem tam kilkakrotnie i właśnie w powrocie z tego

miasta zaszedłem do twojej wioski, skoro też tylko zażądam lekcji, będę ich miał więcej, aniżeli byłbym w stanie podołać. Tym sposobem będziemy żyć, lecz każdy osobno. A równocześnie też zajmę się wyuczeniem dwóch psów, by zastąpić Zerbino i Dolce i na wiosnę będziemy mogli znów wyruszyć razem mój drogi Romciu, by się już nie rozłączyć więcej, bo los nie zawsze bywa przeciwnym dla tych, którzy mają odwagę walczyć. A właśnie żądam teraz od ciebie odwagi i rezygnacji. Później, lepiej nam będzie, to tylko jedna przykra chwila do przebycia. Z wiosną znów wrócimy do naszego swobodnego życia. Zaprowadzę cię do Niemiec i Anglji, bo jesteś coraz starszym i coraz więcej umysł się twój rozwija. Nauczę cię wielu rzeczy i wykieruję na rozumnego człowieka. Przyrzekłem to pani Milligan i dotrzymam. I właśnie mając na celu te podróże, zacząłem cię uczyć po angielsku. A przecież dokładna znajomość języka francuskiego i włoskiego, to już także coś znaczy dla dziecka w twoim wieku, nie biorąc już w rachunek twego wybornego fizycznego rozwinięcia. Zobaczysz Romciu, zobaczysz, nie wszystko jeszcze stracone.

Pomysł ten był zapewne najodpowiedniejszym i najlepszym w ówczesnem położeniu. I zastanawiając się teraz nad nim, widzę, że pan mój robił wszystko co tylko mógł, byle się tylko z tej przykrej wydobyć pozycji Lecz myśli przechodzące po głębszem zastanowieniu, inne bywają zupełnie od tych, jakie nam się snują po głowie w chwili pierwszego wrażenia. I ja też w tem wszystkiem co mi Vitalis mówił, widziałem tylko dwie rzeczy:

Rozłączenie się nasze i owego padrone.

A pośród naszych wędrówek spotykałem ich niejednokrotnie, prowadzących wynajęte przez siebie dzieci, a prowadzących je zawsze pod grozą nieustannie podniesionego bicza. Nie byli oni w niczem podobni do Vitalisa, surowi, niesprawiedliwi, wymagający, pijący, z wieczną klątwą i grubjańskiemi wyrazami na ustach.

Mogłem i ja także wpaść w ręce takiego okrutnika. A zresztą chociażby mi nawet los szczęśliwie trafić pozwolił, to przecież była to znów zmiana.

Po matce przybranej, Vitalis.

Po Vitalisie znów ktoś inny. Czyż zawsze tak będzie. Czyż nigdy nie znajdę nikogo, abym mógł go kochać na zawsze?

Powoli przywiązałem się do Vitalisa, jak do ojca. Więc nigdy nie będę miał ojca?

Nigdy rodziny?

Mam być wiecznie sam?

Wiecznie się tułać po szerokim świecie, bez możności pozostania gdziekolwiek na miejscu?

Miałem wiele rzeczy do odpowiedzenia i słowa z głębi serca gwałtownie cisnęły się na usta, słumiłem je przecież. Pan mój żądał odemnie odwagi i rezygnacji, chciałem go więc posłuchać, by mu nie przyczyniać strapienia. Zresztą nie było go już obok mnie, bo jak gdyby przeczuwał co mu mogę powiedzieć i lękał się właśnie usłyszeć te słowa, oddalił się o kilka kroków i szedł już ciągle naprzód.

Przybywszy wkrótce nad rzekę, weszliśmy na most tak błotnisty, jak nie zdarzyło mi się widzieć; śnieg czarny niby tłuczony węgiel, pokrywał całą jego powierzchnię ruchomą warstwą w którą zapadało się po kostki.

Przy końcu mostu widać było wioskę o wązkich uliczkach, a dalej znów równinę. Na drodze rozmaitego rodzaju powozy ciągnęły jeden za drugim, mijając się bezprzestannie. Zbliżyłem się do boku Vitalisa, a Capi nie odstępował nóg naszych.

Niezadługo znaleźliśmy się w ulicy długiej bez końca, z szeregiem domów po obydwóch stronach, lecz biednych, brudnych, daleko brzydszych niż w Bordeaux, Tuluzie lub Lyonie.

Śnieg pozmiatany ze środka drogi, wznosił się czarnemi kopcami, na które sypano popiół, rzucano obierzyny z zeschłych jarzyn i wszelkiego rodzaju śmiecie, napełniające powietrze odrażającemi wyziewami. Dzieci o bladych twarzyczkach, bawiące się przed drzwiami domów, co chwila wywijały się z wielką zręcznością z pod przejeżdżających ciężkich ładownych wozów, nie zdając się wielkiej zwracać na nie uwagi.

— Gdzież my jesteśmy? — zapytałem Vitalisa.

— W Paryżu mój chłopcze.

— W Paryżu!...

Czyż to możliwe? Więc to jest Paryż.

A gdzież moi wymarzeni przechodnie w złotogłowiu i jedwabiach?

Jakże rzeczywistość była brzydką i nędzną!

Więc to był ów Paryż, który tak pragnąłem zobaczyć, a w którym miałem przebyć zimę rozłączony z Vitalisem i... z Capi.

XVI.

Padrone z ulicy de Lourcine.

Aczkolwiek wszystko, co mnie otaczało, zdawało mi się przebrzydłem, otwierałem jednak oczy i rozglądając się zapominałem niemal o ważności dla mnie tej chwili.

Im więcej posuwaliśmy się w głąb Paryża, tem mniej rzeczywistość odpowiadała mym dziecinnym marzeniom.

Zamarzłe rynsztoki wydzielały coraz wstrętniejszą woń. błoto pomieszane ze śniegiem i lodem coraz było czarniejszem, padając szerokiemi płatami z pod kół powozów na okna sklepów biednych i brudnych.

Stanowczo Paryż nie wart był czyściutkiego Bordeaux.

Przeszedłszy następnie szeroką ulicę mniej nędzną, niż poprzednie, a w miarę naszego posuwania się w jej głąb, znajdując coraz większe i piękniejsze sklepy, Vitalis zwrócił się na prawo i wkrótce znów weszliśmy w dzielnicę bardzo ubogą. Domy wysokie i czarne, zdawały się łączyć w górze; wezbrane i niezamarznięte rynsztoki płynęły środkiem ulicy, a tłum przechodniów nie zwracając uwagi na tę cuchnącą powódź, brodził po błocie.

Na rogu jednego domu przeczytałem nazwę ulicy: de Lourcine.

Vitalis zdający się dobrze wiedzieć dokąd zmierzał, rozsuwał zlekka tamujące przejścia gromadki, a ja postępowałem tuż za nim.

— Uważaj, abyś mnie nie zgubił, — odezwał się do mnie.

Po przebyciu obszernego podwórza i długiego korytarza, weszliśmy do jakiejś ciemnej zielonawej piwnicy, w której zapewne nie gościł nigdy promień słońca. Było to straszniejsze i brzydsze jeszcze miejsce nad wszystkie dotąd przez nas widziane.

— Czy Garofoli w domu? — zapytał Vitalis jakiegoś człowieka wieszającego na ścianie stare łachmany i przyświecającego sobie latarnią w tej robocie.

— Nie wiem, zobacz pan sam: wiesz pan gdzie, ostatnie schody na górze, pierwsze drzwi.

— Garofoli, to właśnie ów padrone o którym ci mówiłem, — rzekł Vitalis, wstępując na schody pokryte warstwą tak oślizłej ziemi, iż wyglądały, jak ulepione z mokrej gliny.

Widok ulicy, domu i schodów, nie był wcale zalecającym. Jakim więc będzie przyszły mój pan.

Schody ciągnęły się przez cztery piętra; na samym ich szczycie Vitalis bez uprzedniego zastukania, popchnął drzwi naprost się znajdujące i weszliśmy do obszernej izby, będącej rodzajem poddasza. W środku izby pusto było, tylko pod ścianami stało kilkanaście łóżek. Ściany i sufit nieokreślonego teraz koloru, niegdyś musiały być białe, lecz dym, kurz i brud wszelkiego rodzaju, poczernił wapno podrapywane miejscami; gdzieniegdzie obok głowy narysowanej węglem, wyrzeźbiono kwiaty i ptaszki

— Garofoli, — rzekł Vitalis wchodząc, — czy jesteś tu gdzie w jakim kącie? bo dotąd nie widzę nikogo; odezwij się, proszę cię, Vitalis mówi do ciebie.

Pokój w istocie zdawał się być zupełnie pustym, o ile można było o tem sądzić przy bladem świetle zawieszonej w kącie lampki; lecz na wezwanie mego pana, jakiś głos dziecinny, słaby i płaczliwy odpowiedział z kąta:

— Signor Garofoli wyszedł; nie powróci aż za dwie godziny.

I równocześnie odpowiadająca osoba pokazała się nam. Było to może dziesięcioletnie dziecko, a gdy się zbliżyło wlokąc z trudnością, powierzchowność jego tak dziwne sprawiła na mnie wrażenie, iż je dotąd widzę przed sobą. Zdawało mi się, jak gdyby nienaturalnie wielka jego głowa osadzoną była nie na korpusie, lecz wprost na nogach, jak to przedstawiano przed dziesięciu laty na humorystycznych rysunkach, modnych w owym czasie; głowa ta nosiła wyraz głębokiego bólu i łagodności, w oczach malowała się rezygnacja, a ogólny charakter fizjognomji napiętnowany był jakiemś zwątpieniem bez nadziei. Tak ukształtowany nie mógł być pięknym, a jednak pociągał wzrok ku sobie i zatrzymywał go sympatycznym urokiem wielkich swych łagodnych i tkliwych oczów, oraz pięknemi ustami.

— Czy pewnym jesteś, że Garofoli powróci za dwie godziny? — zapytał Vitalis.

— Najzupełniej, signor; jest to właśnie pora obiadowa, a nikt inny prócz niego nie rozdziela nam porcyj.

— A więc, jeżeliby powrócił wcześniej, powiesz mu, że Vitalis przyjdzie do niego za dwie godziny.

— Za dwie godziny, dobrze, signor.

Zabierałem się wyjść za mym panem, lecz powstrzymał mnie.

— Pozostań tutaj, — rzekł, — wypoczniesz tymczasem.

A widząc moją przerażoną minę, dodał jeszcze:

— Zapewniam cię, powrócę za dwie godziny.

Byłbym wolał pomimo znużenia, iść za Vitalisem, lecz przyzwyczajony słuchać bezwzględnie jego rozkazów, musiałem pozostać.

Gdy kroki oddalającego się Vitalisa przestały już dochodzić naszych uszów, chłopiec przysłuchujący im się w postawie pochylonej ku drzwiom, zwrócił się ku mnie.

— Czy jesteś moim rodakiem? — zapytał po włosku.

Przez czas mego pobytu u Vitalisa nauczyłem się tyle po włosku, że niemal rozumiałem wszystko w tym języku, nie miałem tylko jeszcze dość wprawy, by nim władać swobodnie.

— Nie, — odrzekłem po francusku.

— Ach! — westchnął smutno, utkwiwszy we mnie wielkie swe oczy, — tem gorzej, takbym pragnął zobaczyć rodaka.

— Z których stron?

— Z Luki; może byłbyś mi przyniósł jakie wieści z domu.

— Francuzem jestem.

— Tem lepiej.

— Wolisz francuzów, aniżeli włochów?

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.